№ 15.

Warszawa dnia 25/6 Kwietnia R. 1867

TYGODNIK MÓD I NOWOSCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

SIŁY PODZIEMNE.

I.

Któż nie przyzna, że ze wszystkich dziwów i cudów świata, najpierwsze trzymają miejsce góry ogień wybuchające jak Etna, wulkany Jawy, Mauna Roa, Orizaba, Kotofaksi i tyle innych, tak z powodu harmonji i pysznéj okazałości swych kształtów, jakoteż rozlicznych związanych z niemi dramatów ludzkich, tak żywe budzących zajęcie.

W ciągu ostatnich lat Europa była widownią licznych wstrząśnień wulkanicznych. I tak, po trzynastu latach spoczynku, Etna zbudziła się nareszcie, i rozstępując nagle na długość kilku kilometrów wyrzuciła ze swego łona rzekę lawy, któréj objętość równała się objętości 800 metrów sześciennych.

W ogólności wybuchy Wezuwiusza nie przypadają jednocześnie z wybuchami Etny; tą razą jednak, jakby zazdroszcząc swéj siostrzycy, zaczął dymić gwałtownie, zmieniając znowu kształt swego krateru. W kilka miesięcy późniéj wyspa Sartorin, leżąca na archipelagu greckim, od lat 98 w głębokim pogrążona letargu, zrywa się nagle do życia, aby utajoną swą siłę zdumionemu objawić światu. W skutku tego wysepka Nea-Kameni, wznosząca się w pośród wielkiéj półkulistéj przystani zawartéj między Sartorinem a Terezia doznaje nagle silnego wstrząśnienia ziemi, a niezadługo z otchłani morza wydobywa się skała czerniawéj lawy, rozpościerając się z wolna na powierzchni wody zabielonéj kwasami, i nareszcie tworzy jakby przylądek około Nea-Kameni.

Nie dość na tem, w większéj części Europy zachodniéj dawało się czuć lekkie trzęsienie ziemi, budząc trwogę i przerażenie w spokojnych mieszkańcach, uczących się smutnem doświadczeniem, że dziś na nic w świecie, nawet na nieruchomość gruntu, liczyć już nie można.

Jednak pomimo względnéj swéj ważności, jakże to małe, jak zaledwie warte wzmianki wydają nam się wszystkie te wydarzenia, obok strasznych katastrof, jakie w tem stuleciu zaszły w innych częściach świata! Czemże są wybuchy Etny i Nea-Kameni, w porównaniu ze strasznym wybuchem wulkanu Timboro, który znikł całkiem w roku 1815, zamieniając się w dym i popiół, a ogromna, trzy razy większa od góry Montblanc massa jego szczątków, unosząc się w powietrzu tak zaćmiła światło dzienne, że na ogromnéj przestrzeni ziemi, dzień w czarną noc się zamienił? Cóż znaczy owo lekkie wstrząśnienie poruszające nieco domy Paryża, odnośnie do strasznego trzęsienia ziemi w Simoda, które miało obalić kilka tysięcy budynków, lub do katastrofy wydarzonéj w Mendoza, gdzie połowa mieszkańców utraciła życie?

A jednak świeże ruchy wulkanów Europejskich i lekkie trzęsienia ziemi wydarzające się we Francji, silniéj daleko uderzyły wyobraźnie, niż najokropniejsze katastrofy mające miejsce w odległych krajach, i uwaga publiczna żywo zwróciła się na ten przedmiot, badając ciekawie zadziwiające objawy drgań ziemi.

Zbyt mało, a raczéj wcale prawie jeszcze nie znamy przyczyn tych wielkich zjawisk przyrody, gdyż tak hipotezy stawiane przez fizyków i geologów, jako też wątpliwości naukowe napotykane w téj tak ważnéj kwestji, nie zostały dotąd stanowczo roztrzygnięte przez obserwacje bezpośrednie. Do najnowszych a mało znanych, sumiennych i głębokich w tym przedmiocie badań, należą między innemi prace pp. Fuchs'a, Kluge'go, Ottona Volger, Emmanuela Liais, oraz świeżo wyszłe przepysznie wydane dzieło popularno naukowe p. Arnolda Boscowitz, p. t. „*Les vol-*

cans et les tremblemens de terre" będącéj niejako orzeczeniem prac powyższych uczonych; podajemy tu pokrótce treść jego zebraną przez p. Elizeusza Rédus.

Niedawno jeszcze uważano za niemylną prawdę, że w środku ziemi istuieje ogień wewnętrzny, który uczeni niemieccy nazwali „pyryphlegeton'em." Według tego systemu, pod cienką powierzchnią którą szacowano na 35 a najwięcéj na 50 kilometrów, wrzało gorące morze law; w porównaniu ze średnicą ziemi, 250 razy większą, powierzchnia ta byłaby tylko cienką skorupką, jakby powłoką rozpostartą na sferze płynnéj, i ta to cienka skorupka miałaby utrzymać w karbach ów niezmierzony ocean ognia, mający równie jak ocean zewnętrzny, swe prądy, przypływy, odpływy, a może i burze.

Tak więc geologiczne rewolucje kuli ziemskiéj byłyby tylko odbiciem kołysań podziemnyah tego ukrytego piekła, góry byłyby to stężałe zmarszczki tego oceanu ognia, a wielkie, nad wybrzeżami mórz sterczące olbrzymy, jak Etna, cypel Tejde, Manna-Roa, świadczyłyby swymi wybuchy o burzach szalejących pod spodem powierzchni stałéj. Według przyjętego systemu, najmniejsze ciśnienie zewnętrznéj skorupy skał, najmniejsze naruszenie równowagi w bezgranicznéj przestrzeni tego topniejącego morza, muszą koniecznie wywoływać wzburzenie, albo nawet kruszyć cienką powłokę; i ztąd to powstają trzęsienia ziemi i formacja kraterów wulkanicznych.

Ta prosta teorja silnie bardzo opanowała umysły raz dla tego, że dozwala tłómaczyć pewne fakta historji ziemi, a powtóre i więcéj może jeszcze iż jest jakby dalszym ciągiem mytu bajki greckiéj i legend hebrajskich. Mimo woli i nie wiedząc nawet o tem, najsumienniejszy badacz pragnący szczerze nie zbaczać ze ściśle naukowéj drogi, podlega jednak wpływom idei, jakie mu zaszczepiono w latach dziecinnych, i w tych otchłaniach pyryphlegetanu, odnajduje ciemne państwa Plutona i piekielne kręgi Danta.

Spłaszczenie ziemi przy dwóch biegunach i wzniesienia jéj pod-równikowe, były przedstawiane jako niezaprzeczone świadectwo stanu żaru płynnego, w jakim kiedyś ziemia cała znajdować się miała. I rzeczywiście każda kula płynna obracająca się w około swéj osi, musi koniecznie kształt ten przybrać, a to z powodu nierównéj prędkości różnych punktów swéj massy; lecz zachodzi pytanie, czy nawet i stała kula nie uwydatniłaby się więcéj ku zwrotnikowi, obracając się nieustannie w nieokreślonéj kolei wieków, skoro niema materji bezwzględnie nieczułéj i nieugiętéj, a pod silnem ciśnieniem naszych laboratorjów (nie dorównywających przecie trwałością i mocą ciśnieniu sił planetarnych), wszelkie ciała stałe, jak żelazo i stal, topnieją równie jak ciała ciekłe. Zresztą obserwacje i wyrachowania astronomów i geometrów, doprowadziły ich do uznania: że spłaszczenie ziemi przy dwóch biegunach podlega pewnym zmianom, zatem inne prawa niż ruchy obrotowe, przyczyniałyby się do zmienienia kształtu planety.

Mniejsza zapewne przy biegunie północnym niż południowym nieregularność kuli zdaje się podlegać w kolei wieków pewnym peryodycznym zmianom, i nadto komplikuje się innemi nieregularnościami, zniżeniami lub pdwyższeniami, które wachania zegara i miary łuków ziemskich objawiają nauce. Jednym z najważniejszych przedmiotów, których badanie przedstawia nam geografia fizyczna, jest właśnie ta zmienność ziemi, która z zadziwiającą powolnością podnosi się i zniża na różnych punktach powierzchni wszechświata. Jakkolwiek nie znamy dotąd pewnéj przyczyny tych podwyższań i obniżań, nic jednak nie każe wierzyć bezwarunkowo, że są skutkiem siły odśrodkowéj wytworzonéj obrotem ziemi.

(d. c. n.)

HALKA.

Czemu po téj świętéj niwie,
Zbierasz kwiatki tak skwapliwie?
Rzekł do Halki dziad kościelny:
Co się zbiera na cmentarzu,
To się składa na ołtarzu,
A dziś właśnie dzień niedzielny.

Nie staruszku — dziewcze woła,
Niezbieram ich, dla kościoła,
Innym razem go ozdobię;
Dziś ja z rady dobréj matki,
Na to zbieram święte kwiatki,
By w nieszczęściu pomódz sobie.

Pierwsza niegdyś z dziewic grona,
Zosi urodą zgaszona,
Straciłam serca młodzieńcze;
Mówią że szczęściem obdarza,
Kwiat zerwany wśród cmentarzu,
A więc dziś się nim uwieńczę.

Niekłopocz się — dziadek rzecze,
Już ci żaden nie ucieczę,
Gdy w tem szczęścia widzisz tyle,
Wszystkie kwiatki tu żerwane,
Dla zgaszenia Zosi rwane,
Rwałaś je na jéj mogile!

Ignacy Stapciański.

DZIEDZICZKA JODŁOWCA

POWIEŚĆ,

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg.)

Janina się zarumieniła, wyraz dziwnie rzewny przemknął się po jéj licu. Przeszła się parę razy przez pokój, wybiegła na werandę, by ją świeże owionęło powietrze, przygładziła znowu włosy, a potem przed wujem stanęła, spokojna, z wyrazem pogody na licu. A jakkolwiek powieki nieco były zróżowione, lekki jednak uśmiech skrasił jéj usta.

— Jestem wujaszku — wymówiła.

— Więc idźmy.

— Idźmy!... Jestem spokojna, i potrafię być panią siebie.... i panią domu — uśmiechnęła się.

Weszli do salonu. Pan Gromontowski wyprowadził gościa z sali obrazowéj.

Pan Jerzy był blady bardzo, przychudły i palcami lewéj ręki trzymał się za guzik. Ubiór jego był ciemny, elegancyi nie wymuszonéj. Zbliżył się z zupełną swobodą. Janina, zarumieniona, podała mu rękę i jego uścisnęła prawicę. Pan Jerzy pokraśniał także, i rączkę tę do ust poniósł, zrozumiał dobrze i poczuł, że w tem ściśnieniu była podzięka, któréj w słowa ubrać nie śmiała.

Zamieniono kilka zwykłych, powitalno-grzecznych wyrazów. Usiedli a wszyscy troje w prawni w tok wyższy życia towarzyskiego, od razu dość ożywioną zawiązali rozmowę. Wątku nie brakowało, bo dostarczała go zagranica: Karlsbad, Marienbad i Drezno.

Janina zadzwoniła i kazała poprosić panią Siewońską i pannę Julję.

Pan Jerzy pokraśniał znowu, gdy to nazwisko posłyszał. A potém, gdy go tym paniom pan Gromontowski przedstawił przemknął jakiś dziwny, nieokreślony wyraz po jego licu. Zamilkł na chwilę, wzrok opuścił ku ziemi, lecz zaraz podniósł go znowu i daléj rozpoczętą prowadził rozmowę.

Pan Gromontowski zawezwał następnie do przechadzki po ogrodzie, bo dzień, jakkolwiek wrześniowy, był piękny i ciepły. Wychodząc, spotkali proboszcza, którego młoda pani poprosić kazała. Chodziło jéj o więcéj osób, by nie przybłąkała się jaka chwila zakłopotania.

Pan Jerzy pochwalał piękność położenia Jodłowca. Chodzili długo. Potém siedzieli na werandzie, dopóki słońce całkiem nie spuściło się po za jezioro, chłodek wieczorny nie zawiał.

Oświetlono pokoje, a w salonie przyrządzono do herbaty, bo pan Gromontowski uprzedził siostrzankę, że gość wieczornym pociągiem do Warszawy odjedzie.

Po herbacie prosił ją pan Jerzy, by zaśpiewać raczyła. Janinie zdawało się, że przytém głos jego zadrżał. Usiadła przy fortepianie od razu, lecz palce jéj nie ze zwykłą po klawiaturze przebiegały zręcznością — i słabsze tylko wydały dźwięki. Potém śpiewała, ale i śpiew więcéj był przytłumionym. Wybrana i ulubiona przez wuja muzyka z *Il trovatore* dziwnie rzewno płynęła, jakby ze łzami. Potém, skończywszy, uderzyła kilka raźniejszych akordów, i zaśpiewała mazura Szopena.

Siliła się, ależ i w téj nucie ochoczéj oddźwięczały się mimowolnie jakieś głębsze a smętniejsze tony.

Pan Jerzy stał z boku o parę kroków. Julja uważała, że mienił się na twarzy, a lewa jego ręka zadrżała.

— Dziękuję — wymówił wpółcicho, gdy Janina powstała, i skłonił się. Usiadł potem przy stole i Albumy przeglądać począł.

Zaturkotało. Janina z bijącem sercem posunęła się ku oknu. Extra-pocztowy koczyk, którym panowie od kolei przyjechali, zajeżdżał właśnie.

Lampy w latarniach, na filarach peronu jasne rzucały światło na trawnik, klomby, krzewy, kwiaty i na czystym zwirem usypany zajazd. Bezmyślnie popatrzyła chwilę, a gdy się odwróciła, stał przed nią pan Jerzy z kapeluszem w ręku.

— Pan do Warszawy jedziesz? — zapytała pani Siewońska.

— Tak, pani — odrzekł — lecz zabawię tam tylko godzin parę.

Janina zamilkła, nie potrafiła zapytać go nawet, kiedy do Zajezierza pojedzie?— Jak gdyby głos zamarł w jéj piersi.

— Żegnam panią!— wymówił odjeżdżający.

Podała mu rękę, którą z lekka do ust poniósł Skłonił się i wyszedł.

W łonie Janiny nieokreślone uczucie tęsknoty zaległo.

Pan Gromontowski i proboszcz gościa wyprowadzili.

Skrzyp zwiru pod kołami, lekki turkot... i przebrzmiało wszystko.

Pan Gromontowski powrócił z księdzem. Janina niby w odurzeniu była. Potém wybiegła przez buduar do ogrodu, usiadła w miejscu ustronnem, zacisnęła dłońmi oczy i zapłakała. Z oddalenia dolatywał ją jeszcze odgłos podążającego powozu słabnąc coraz więcéj.

Łzy przyniosły jéj ulgę. Potém w zadumaniu jeszcze długą posiedziała chwilę.

„Jerzy Gorysławski w Jodłowcu"! — Nie sen-że to był? — Sen!... mara!... bo i wszystko, jak senne przeminęło marzenie!... A jakżeż on był innym od tego Jerzego, którego znała dawniéj!... Tak był zmienionym, tak sztywnym!... Obojętnym a smutnym... I na zdrowiu ucierpiał z jéj przyczyny!— tak był blady, mizerny, i znużony widocznie. Oczy jéj znowu łzami zaszły.

Zobaczyła cień białawy od pałacu: to Julka! —

Podniosła się szybko, łzy starła i na jéj spotkanie pobiegła.

— Janeczko, co tu robisz?— zawołała Julja, biorąc ją pod rękę — zaziębisz się, wieczór jest chłodny!

— Właśniem po to wyszła — odrzekła by ochłodzić się trochę: w salonie duszno i gorąco. Lecz wracajmy.

— Jakżeż ci się pan Jerzy podobał?'— zapytała po chwili, idąc i trzymając Julją pod rękę, obojętnie na pozór.

— Nadzwyczaj! Poznać w nim od razu człowieka wyższego.

— Zmienił się... odmienił się... był innym... Lecz chodźmy! czuję chłód teraz.

Gdy weszły do salonu, Julja z badawczą troskliwością spojrzała na przyjaciółkę: Janina była spokojna, uśmiechnięta nawet i z ożywieniem mówić poczęła. Julja sercem odgadła wszelako, że nie w naturalném zostawała usposobieniu i boleśnie to uczuła.

W pare dni potem przyjechała pani Gromontowska do Jodłowca. Jnteresowały ją szczególniéj odwiedziny Gorysławskiego i wrażenie, jakie na Janinie wywarły. Mąż nie umiał wszystkiego opowiedzieć. Z niepokojém dostrzegła, że siostrzanka stała się smętniejszą — i pobladła nieco. Mówiła o tém z panią Siewońską, która rozrzewniona odrzekła.

— Był... a tą bytnością swoją na nowo spokój zamącił. Lepiéj gdyby był zupełnie nie przyjeżdżał.

— Mąż mój sądził, że to ich zbliży, a życzy sobie tego!

— Dziwna rzecz! Bo i on jest smutny, a Janeczka mówi, że zmienił się bardzo.

— I czyliż niczem nie okazał, że żywi jakieś zamiary, nadzieje?

— Niczem! Pożegnał się, i na tém koniec.

— Karol miał wszelako nadzieję, że naprawi się wszystko, bo tak jakoś i złożyło się zgrabnie. Zaraz po odebranéj wiadomości o pojedynku, napisał do znajomego w Dreznie, by mu doniósł o stanie zdrowia pana Gorysławskiego. Zapytywał następnie raz drugi i trzeci, a odebrawszy na list ostatni odpowiédź: że pan Jerzy już na przechadzkę wyjeżdżać zaczyna, napisał do niego samego. W liście wyraził mu wdzięczność serdeczną za jego rycerskie, szlachetne wystąpienie, w obronie pupilki i siostrzenicy, ubolewając zarazem nad smutnym skutkiem tego czynu honorowego. Oświadczył przytem, że pragnie odwiedzić go w Dreznie, dokąd wybiera się z tego umyślnie powodu; by z ust jego dowiedzieć się o powodach zajścia i nadto powodowany interesem, jakie w nim obudza panna Świętoborska, którą jakby własną kocha córkę, i nad któréj dolą z obowiązku honoru i prawości troskliwie czuwać powinien. Pan Gorysławski odpowiedział na to uprzejmie, z uznaniem, pięknie ale krótko. Dodając w końcu: że zamierza właśnie do kraju powrócić, ile że lekka rana już goić się poczyna. Wiedzieliśmy wszelako zkądinąd, że tak lekką nie była. Tymczasem zaszła chwilowa przeszkoda, i mąż mój do Drezna pojechać nie mógł. Napisał więc powtórnie zaraz, prosząc: ażeby mu pan Jerzy doniósł, kiedy w powrocie do kraju, w Krakowie stanie, by tamże mógł na niego poczekać. Na list ten odpowiedział jeszcze uprzejmiéj: że dnia oznaczyć mu niepodobna, ale korzystając ze sposobności, będzie mu nader przyjemnie, w przejeździe, zboczyć z kolei, i złożyć nam uszanowanie swoje w Złocinie. Mój Karol aż ręce zatarł, tyle ucieszyło po zapowiedzenie téj wizyty. I jam się uradowała serdecznie, wyciągając ztąd wnioski pomyślne. Janina, oczywiście, o téj całéj korespondencyi z panem Jerzym i jednego nie wiedziała słówka. Mąż mój tak chciał, i słusznie. Wreszcie Gorysławski przybywa. Powitaliśmy go bardzo radzi... i spodobał nam się od razu bardzo. Miał długą rozmowę z mężem moim sam-na-sam. Opowiedział mu całe zajście z Hilarym Klimaszewskim, wyrażając przytem cześć najwyższą dla panny Janiny. Lekko potrącił o pojedynek, mówiąc: że rana jego draśnięciem była tylko.

— A widać jeszcze, po tygodniach pare, że cierpiał dużo.

— I cierpi dotąd, jak opowiadał jego służący. Gdy mąż mój objawił życzenie odwiedzenia Jodłowca, pan Gromontowski poczerwieniał, pobładł, lecz skłonił głową, zgadzając się chętnie, i coś tam o zaszczycie i przyjemności powiedział. Potém spochmurniał jakoś, i wpadł raz po raz w zamyślenie, lubo że się silił na nieustającą rozmowę. O bytności Janiny w domu państwa Radzyńskich i jednem nie potrącił słowem. Pogadanka toczyła się li tylko o rzeczach obojętnych, lubo że rozmowa z nim, o każdym przedmiocie, jest nader zajmującą i przyjemną. Karol polubił go bardzo i ceni go wielce. Ale... zdaje nam się — dodała ciszéj i smutno — że z rażonym został, i że to dotyka go boleśnie.

— I nam z Julką, wydaje się tak samo... Ach, ja sobie, w części przynajmniéj, winę tego przypisuję, słabością swoją i podleganiem niczem nieprzełamanéj a nieoględnéj woli tego dziecka kochanego.

— Tak, tak, jedyne to, kochane i najlepsze stworzenie, ale... podlegałyśmy jéj zawsze za nadto. I ja to wyznaję. Biedaczka, ona dziś żałuje swego wybryku, który pewnie Gorysławskiego zraził.

— I Janina znać tak przypuszcza, domyśla się, lubo o tém nie mówi. To ją nęka i boli. Drugostronnie wszelako odzywa się zawsze: że błogie, uszczęśliwiające wyniosła wspomnienie, i przekonanie, które jéj przyszłości na zawsze przyświecać będzie.

— Boże mój!— pani Gromontowska ramionami ruszyła. Powiem kochanéj pani — dodała poufnie— ależ to w sekrecie zupełnie, że mąż mój zaprosił pana Gorysławskiego na polowanie, które zamierza w październiku albo listopadzie wypr[illegible]ić.

— I obiecał przybyć?

— Obiecał. Ale, kto wie, czy obietnicy dotrzyma. Może tylko nie odmówił przez grzeczność.

— Otóż to!

— My czynimy, co czynić można. Janina po panu Jerzym, już i nie spojrzy na nikogo.

— Ani wątpić!.. To też panną chce pozostać, i jedynie szukać szczęścia w spełnianiu obowiązków swoich.

Nadejście Janiny i Julij, w towarzystwie pana Władysława, powyższą zakończyło rozmowę.

VIII.

Elle était destineé a faire le bien comme un plaisir, avant de le faire comme obligation.

H. de Balzac.

W dniu pięknym październikowym, ciepłym, słonecznym, odbyły panie jodłowieckie daleką w pole przechadzkę a potém szły przez wieś i zatrzymały się przed nowym budynkiem szkolnym, wzrastającym pospiesznie.

Janinę widok pól i pogodne orzeźwiło niebo. Rozmawiała z rzemieślnikami i żartowała z dziatwą wiejską, któréj ciekawa zebrała się gromadka. Julja miała w koszyku owoc i orzechy — i dzieliła je pomiędzy uradowanych malców.

Zniżone promienie jaskrawo-rumianego słońca ozłociły całunkiem pożegnalnym płowe rżyska pszeniczne — wierzchołki drzew parku — smukłą wieżycę kościoła — malowniczo rzucony piękny pałac na wzgórku, — i szereg białych domków wieśniaczych.

Pani Siewońska przypomniała, że chłód wieczoru zawiewa, a panny ciepłych okrywek nie miały. Młoda dziedziczka chciała wszelako pójść jeszcze w drugą stronę wsi i zwiedzić szpital, — gdy od pałacu, z pośpiechem bez czapki, właśnie nadbiegł lokaj.

— Cóż się tam stało? — zapytała. Julja poskoczyła ku niemu — i zawołała z wyrazem uradowania:

— Przyjechała pani Radzyńska z pannami!

Janiny oczy zajaśniały.

— O, to spieszmy! — i biegła naprzód, że jéj trudno było dogonić.

Przed bramą dziedzińca spotkała idące naprzeciw, Franię i Adzię — a daléj i samą panią Radzyńską.

Powitania były radośne — i po nad wszystko serdeczne. A gdy wchodzono na peron pałacowy — panienki zdawałoby się, że już oddawna Juliją znały.

Frania rozwinęła się całkiem i nader korzystnie. Adzia urosła i była ładniutką.

Szczebiot wesoły zaległ pokoje.

Gdy w salonie ogólna toczyła się rozmowa, ujęła Frania Janinę pod rękę, i przeszły do dalszych pokoi.

— Jedziemy z Żurawina — zaczęła opowiadać — a ojciec i major pozostali tam jeszcze.

— Major obiecał, że mnie odwiedzi — zagadła Janina.

— Miał nam towarzyszyć, lecz to zmieniło się potém. Pan Jerzy ciągle jeszcze przybladły trochę, nieswój wcale... i posępny.

Janina milczała.

— Mieszkanie urządził ślicznie. Obicia zupełnie podług twojego wyboru, i materye na meblach kolorów jakie dobrałaś. Pamiętasz?.. Podług wzorów i próbek, które zeszłéj przeglądałyśmy zimy. Przy głównym salonie jest i pokój przerobiony na cudny buduar, zaokrąglony i oszklony, jak nasz gabinecik w Zajezierzu, tylko znacznie większy i piękny. Okna są ozdobione obrazami na szkle malowanemi, co wielki sprawia efekt; szyby wielkie zwierciadlane; filary marmurowe i słupki z popiersiamy pięknemi; posadzka mozajkowa.. i już nie potrafię tych wszystkich wyliczyć splendorów. Chwaliłaś zawsze nasz gabinecik, zgadzał się z tobą i mówił, że podobny każe w Żurawinie stworzyć. I stworzył istne mieszkanko wieszczek... Zaniedbaném to wszelako stoi, bo on sam i nie zajrzy tam nawet.

Janina pochyliła czoło — a na jéj licu rzewny wybił się wyraz.

— Wujaszek zajmuje dla siebie tylko dwa pokoje przy bibljotece, skromne zupełnie. I ogród gust twój przypomina. Jest tam nawet i klombik, składający się jedynie li z kwiatów polnych... Raz w obecności jego wspomniałaś o takim. I różne różności inne, o których mówiłaś, napotkać tam można. Są to wszelako rozporządzenia na wiosnę ogrodnikowi wydane, bo teraz pan Jerzy z obojętniał całkiem na wszystko, ztetryczał, i jest nie do poznania. Do dawniejszych obrazów przybyło także i parę z przeszłéj wystawy krakowskiéj, które pochwalałaś.... Dość, Janinko, że w Żurawinie wszystko ciebie przypomina!

Janina milczała — bo i cóż miała mówić? — a ciężar tłoczył jéj serce.

— Major miał nam towarzyszyć do Jodłowca, i namawiał, by i pan Jerzy z nami pojechał. Ale odmówił, dodając: "gdyby panna Janina nie była dziedziczką Jodłowca, ale raczéj panną Siewońską tylko!,, — Major począł perswadować, i ojciec, i mama, ale wujcio pobladł i odrzekł: "Jest-to niepodobna dla mnie! Wszelkie uczucie honoru sprzeciwia się temu!,,... — i prosił, by go nie namawiano więcéj. To też i umilkli. Major złym był widocznie, pokwaśniał, i już także z nami jechać nie chciał... Biedny pan Jerzy, cierpi.. — panienka nie śmiała nic więcéj dodać.

— A jakże ręka jego? — zapytała Janina, wydobywając z ciężkością głos z piersi.

— On twierdzi, że jest dobrze zupełnie. ale nosi ją jeszcze na pasku, i niekiedy dłoń drugiéj ręki położy na niéj, jak gdyby zabolała go nagle. Nie przyznaje tego wszelako.

— Nie dobry major, że z wami nie przybył.

— Pragnął tego, i tylko pan Jerzy popsuł mu humor. Za to nazwał go téż dziwakiem. Gdyśmy odjeżdżały, wymówił, żegnając nas: "Pannie Janinie czołobitność moją! Jestem zawsze jéj najwierniéjszym poddanym,,. — Kazał ci także powiedzieć, że nieco później niezawodnie do Jodłowca przybędzie.

— Cóż tu robicie? — zawołała Adzia, nadbiegając w polocie — Frania chciałaby tylko sama dla siebie mieć Janinkę! — i uwiesiła się téj ostatniéj z pieszczotą.

Mówiły jeszcze o Żurawinie — o panu Jerzym — o ojcu i o majorze — a potém pospołu do salonu wróciły.

Dnia drugiego przyjechali państwo Gromontowscy, zaproszeni przez Janinę. A dnia trzeciego — na usilne nalegania wujenki — zaprosiła młoda pani domu, prócz pana Tumińskiego i proboszcza i państwa Rohojowskich.

Janina niechętnie te zaprosiny do Brzostowa wysłała — nazywała to w duszy: demonstracyą — komedyą — lecz nie opierała się wujostwu wcale.

Państwo Rohojowscy przybyli. Pani była w ca-

łym etalażu elegancyi swojéj — mody — tonu wielkiego *of high life* — i, powiedzmy, *lafiryndyzmu*. Chciała się w najjaśniejszém świetle paniom Radzyńskim przedstawić — i zaimponować im nawet. Sadziła francuzczyzną — prawiła o swoich związkach rodzinnych wielce arystokratycznych a rozległych — o życiu na wielkim świecie i relacyach z najpierwszemi osobami w kraju, nazywając ich po imieniu tylko a jeszcze i nie zawsze dodając pan albo pani. Wreszcie i o najświeższéj modzie paryskiéj — *fashion* bo mówiąc o modach francuzkich, modna dama tego używała wyrazu. A przepadała za modą każdą — i miała to sobie jakoby za przykazanie Boże — (*mea culpa*! czyniąc to porównanie) — rzucić się w objęcie najnowszéj, chociaż to byłoby i straszydłem na ptaki.

— To jest rodzona siostrzyczka pani Nory! — poszepnęła Adzia Frani — równie śmieszna a drażniąca zarazem. Że też to każda okolica taką ma... plagę.

Frania pogroziła jéj nieznacznie z uśmiechem, i zróżowiała.

Dla pana Władysława Tumińskiego była dziedziczka Brzostowa i Wierzbna z mrużącemi oczyma, *du haut de son parage*, słodko-kwaskowo grzeczną. A małżonek jéj patryarchalno łaskawym.

Janina umyślnie pociągała go bezprzestannie do rozmowy.

O panach, Gorysławskim i Klimaszewskim, wzmianki żadnéj nie uczyniono: znać z zasady unikali jéj wszyscy.

Gdy po kilkodniowym pobycie, panie Radzyńskie znowu pożegnały Jodłowiec — szczególniéj tęschne uczucie owładło Janinę: było to jakoby oderwanie się na nowo od dawniejszych lubych wzruszeń, które tak uroczo w dziewiczem zawiośniały sercu.

Zgniotła łzę w oku — zarzuciła kapelusz — i do ogrodu wybiegła.

Godzina wczesna jeszcze była; poranek jesienny jasny, pogodny. Gęstą rosą połyskiwały trawy — i kwiatki operlone podnosiły główki. Tu i owdzie wlokły się już białe, pajęcze niciwa.

Janina zbiegła z tarasu i udała się szeroką, z drzew niebotycznych ulicą. Słońce poranne malowniczo w modrem przeglądało się jeziorze — i światłem swojem przeciwległe objęło miasteczko. Zeszła aż na wybrzeże — skręciła w przeciwną młynowi stronę — więcéj osamotnioną, zaciszną — i wolno, ponad wodną tonią, w smętnem zadumaniu, szła daléj.

Na raz jęk tłumiony ją doleciał. Przystanęła — spojrzała: wśród krzewia, opodal, leżała na ziemi wiejska kobieta, mając głowę fartuchem nakrytą.

Janina przystąpiła do niéj i dotknęła ją w ramię.

— Cóż to? Czyś chora? — pytała.

Kobieta odrzuciła fartuch, podniosła się nagle, i Janina ujrzała ładne oblicze, znajoméj sobie Kasi, córki rataja Marcina, rzęsistemi zalane łzami.

— Cóż tobie, Kasiu? — powtórzyła pytanie.

Dziewczyna objęła jéj kolana — zakryła twarz znowu fartuchem, i zaszlochała.

— Cóż tobie, dziewczyno? — i młoda dziedziczka położyła rękę przyjazno na jéj głowie schylonéj.

— Och, paniczuniu jasna, jedyna! — dziewczę załamało ręce.

— Powiedz-że mi, co się stało?

— Przenajświętsza!.. dziewczyna umilkła, poczerwieniała jak maczek polny, spuściła oczy — a łzy nagle płynąć przestały.

— Kasiu, powiedz że mi twoje zmartwienie!

Kasia pokłoniła się znowu do stóp paniczuni, ale milczała.

— Gadajże, dziewczyno, i miéj zaufanie do mnie.

— O Jezu!.. O mój Jezu!.. — łzy jéj potoczyły się — paniczuniu jasna, kiéj kiéj tak trudno powiedzieć.

— Dla czego? Czyliżeś co tak złego bardzo zrobiła?.

— Oj, nie, paniczuniu jedyna, widzi Bóg w niebie! — i jasno jéj w oczy spojrzała.

Wyraz nieokreślony przemknął po licu Janiny. Nagłym ruchem ujęła głowę wieśniaczego dziewczęcia i przycisnęła ją do łona.

— Powiedz-że mi swój smutek!

— Paniczunia jest, gdyby matka rodzona.. a jednak... — jąkała się biedna — tak trudno powiedzieć...

— Może kogo umiłowałaś? — zapytała młoda dziedziczka stłumionym nieco głosem, pochylając się ku niéj.

— Anuć.. tak.. paniczuniu złota! — poszepnęła dziewczyna.

— I ojcowie twoi sprzeciwiają się?

— Gdzieżby tam oni!..

— To więc on, ladaco, opuścił ciebię, biedaczkę?

— O Jezusieńku, nie! — zawołała Kasia, składając dłonie, i znowu wzrok jasny podniosła.

— To i cóż tedy?

— Tomek radby dał na zapowiedź.. ale... ojciec jego gardzi ubogą dziewuchą — i twarz rumianą ukryła.

— Czyimże synem jest Tomek?

— Gospodarza Jantka Sroki z Wolnicy.

Wolnica należała do Jodłowca.

— A czyliżeś, pewna, że Tomek wziąłby cię chętnie ubogą, jak jesteś?

— O Jezusieńku!.. Przenajświętszy!.. — dziewczę załamało ręce — toć-że oj, był tu jeno co.. a powiedział, że... że się utopi z żałości... za mną... a na przekór ojcu — i Kasia zaszlochała głośno.

— Biedna dziewczyno!.. Nie lękaj się jednak niczego, bo ja wszystko wezmę na siebie — i Janina z serdecznem współczuciem głaskała ją po rumianych jagodach.

— Kiéj on tak się odgrażał... Miał jeszcze pogadać z ojcem... a potém: „Powieszę się, albo utopię" powiedział — dziewczyna z nowym wybuchem płaczu załamała ręce.

(d. c. n.)

POGADANKA TYGODNIOWA.

Niedawno w saloniku na pierwszem piętrze przy jednéj z główniejszych ulic Warszawy, odbyła się scena zabawna.

— Salonik był bardzo piękny z wygodą a nawet z pewnym przepychem urządzony. Lustra duże zdobiły ściany posadzkę zaścielał ogromny dywan, przy jej dnéj ścianie stały kanapa, stół i krzesła mahoniowe przy drugiéj fortepian palisandrowy, przy trzeciéj szafka z książkami, a przy czwartéj nareszcie pomiędzy oknami biórko mahoniowe założone tysiącem gracików drogocennych, przy którem siedział w szlafroku z cienkiego korciku pan Hilary i czytał książkę. Był to mężczyzna w saméj pełni czwartego krzyżyka, z obwisłemi blond faworytami i wąsami, z postawą cokolwiek przygarbioną, istny typ podstarzałego kawalera, a przytem próżniaka i darmozjada, który gdyby mógł jakim sposobem sam siebie nie dźwigać, chętnie ciężar ten zwaliłby na cudze barki. Po chwili odetchnął jak miech kowalski, poruszył sprężynę u dzwonka i rzucił się w głąb fotelu poduszkami wysłanego. Po pracy tak ciężkiéj, odpoczynek był konieczny.

— Cygaro! — odezwał się p. Hilary do wchodzącego służącego, choć po takowe dosyć było sięgnąć ręką, ale to była już praca a téj widocznie gospodarz unikał.

— Obetnij!

Czubek cygara odkrojony został nożykiem tuż przy cygarach leżącym.

— Ognia! — dodał wreszcie p. Hilary opuszczając ręce ku ziemi jakby z wielkiego zmęczenia. Potarta zapałka zaskwierczała, późniéj rozszedł się wonny dymek hawańskiego liścia, p. Hilary obwąchał go i wyrzucając kłęb dymu rzekł.

— „Odejdź..“

Pan Hilary był bogaty i po swojemu używał życia. Ha! różne są gusta na świecie. Trzymając cygaro w ustach, zaczął kiwać nogą założoną jedna na drugą. Widać zapomniał że to męczy. Późniéj zanucił coś między zębami, przysunął książkę, przeczytał parę wierszy, wreszcie skrzywił się octowo i odsuwając dziełko cisnął się powtórnie w fotel i rzekł:

— Hu — hu — hu! — jak tu nudno na tym świecie. Dopiero dwunasta i wielkie trzy godzin mam jeszcze do objadu. Ale to tylko kochana Warszawa taka nudna, za granicą jakoś czas lepiéj schodzi.

Sprężyna dzwonka znowu dźwięk wydała, przyciśnięta ręką p. Hilarego.

— Otwórz fortepjan — rzekł do wchodzącego służącego.

Pan Hilary uderzył kilka akordów, potem zaczął brzdąkać jakieś przypomnienie z utworów Mozarta, i wreszcie odjął ręce od instrumentu głęboko się namyślając, czy samemu wyszukać nuty z pomiędzy stosu znajdującego się na stoliczku przy piecu, czy w pracy téj wyręczyć się lokajem? Nuty oddzielała od niego długość fortepianu, dzwonek zaś którego koniecznie do przywołania służącego użyć należało, przejście przez salon.

Przestrzenie te prawie były równo; ważne przeto były niezmiernie powody namysłu, co mniéj trudu wymaga? Łatwiéj zapewne byłoby zadzwonić, bo przyciśnienie sprężyny mniéj mozolne jak przewracanie między nutami, ale nuż służący nie trafi odrazu i potem trzeba samemu wybór uskutecznić? Podróż więc do dzwonka byłaby zmarnowaną, a to gniewa, niecierpliwi i odbiera apetyt. Wzgląd ten przeważył, bo p. Hilary skrzywił się znowu octowo, podumał, pomruczał, wyciągnął jedną nogę, potem drugą wreszcie wzdychając dzwignął całą szlachetną swoją figurę i jak wół kiedy go ciągną do jarzma, powlókł się do nieszczęśliwego stoliczka. Pocóż się miał spieszyć, gdy wielkich trzy godzin było jeszcze do objadu? I znowu ozwały się dźwięki instrumentu. Przegrał jedną kartkę, drugą, przy trzeciéj utknął. Napotkana kombinacja akordów, wymagała układu palców, dokładnego nut wybrania, trzeba więc było choć troszeczkę popracować, a on szukał zabawki, jedynie zabicia czasu. Mozół niedorzeczny! Z niecierpliwiony więc wyciągnął ręce ku pulpitowi jakby do złożenia go i zamknięcia instrumentu, ale w połowie téj czynności zatrzymał się, ręce bezwładnie opuścił, uderzając w przebiegu tym końcami palcy o klawisze, i podumawszy chwilkę potelepał się ku dzwonkowi.

— Zamknij fortepjan, a nuty.... odezwał się do służącego posłusznego jak automat, — jakby złączony ze sprężyną dzwonka tworzył z nią jedną całość. Resztę rozkazu do nut odnoszącego się, dopełnił poruszeniem ręki na stoliczek wskazując. Wiele słów wymawiać i to praca, p. Hilary więc unikał próżnéj gadaniny, zwłaszcza gdy migiem mógł się posłużyć.

Nie odwracając się pozostał późniéj przy biórku z rękami na blacie wspartemi, potem przeciągnął się, ziewnął parę razy otwierając szeroko usta jakby chciał połknąć kawalerzystę w całem uzbrojeniu i spojrzał na zegarek na szczęście tuż przed nim leżący, bo gdyby był daléj z pewnością dzwonek znowu byłby w robocie.

— Dopiero pierwsza dochodzi — mruknął pod nosem — jeszcze dwie godziny. A to czysta męka z tym czasem przedobjadowym. Hu! hu! hu!—Warszawa strasznie nudna, zupełnie nie ma w niéj co robić. Mozart, Hejdn, Bethoven, starzy mantycy, już mi się przejedli. Nowi kompozytorowie wymagają w palcach ludzkich siły kopyta końskiego a biegłości maszynowych kołowrotków. Wreszcie i oni nudzą, a samemu grać i dla siebie tylko nie warto się mozolić. Zbiorowa muzyka, terceta, kwarteta, niezłe są, ale żeby mieć je, kiedy się zażąda na każde zawołanie, jak mego starego Filipa, nie myślącego o niczem tylko o brzęku dzwonka. W takim razie chętniebym przyjął je na zapełnienie nudnie wlokącego się czasu, ale za panami amatorami i artystami chodzić, prosić, namawiać, rozsyłać listy, potem myśleć o przyjęciu, herbacie, wieczerzy, to za wielki trud, za duża ofiara dla tak małéj korzyści. To nie dla mnie! — Drobiazgami zaprzątać się nie myślę i nienawidzę. Gdyby to szło o orkiestrę z tysiąc osób złożoną i o chór dziesięciotysięczny, to byłbym dopiero w swoim żywiole! Och! tak bym biegał... to jest jeździł — pan Hilary poprawił się bo nawet w myśli i w mowie starannie unikał wyrazów jakikolwiek mozół przedstawiających! O! tak, jeździłbym, choćby od rana do nocy. Ale na to trzeba nie Warszawy, ale całych Niemiec przynajmniéj. Warszawa na to za mała, za nudna i za głupia! Hu! — hu! — hu!

W mruknięciu tem p. Hilary odwrócił się od stolika i kilka kroków postąpił w głąb salonu. Zmęczony podróżą tak daleką, zatrzymał się na środku, i znowu przeciągnął się, ziewnął i rozkrzyżował ręce. Widocznie porwany myślą zebrania tak olbrzymiéj orkiestry, zapomniał że takie wyciąganie rąk wymaga natężenia i użycia siły, co naturalnie nuży i morduje.

— Gdyby mnie użyto do wyrabiania wielkich planów, np. uporządkowania Europy, że stanowiska dyplomatycznego i postępowego, gdyby mi dano do krytycznego ocenienia projekt zalania Wezuwjusza wodami morza Srodziemnego, gdyby zażądano sprawdzenia rachunku lesistości całego świata z przyrostem rocznym i wydatkiem dotąd praktykowanym, gdyby w handlu z Ameryką znalazła się myśl nowa, olbrzymia jak jéj pustynie, bogata w korzyści jak kopalnie złota kalifornji, i tę dano mi do opinji i oceny, gdyby wreszcie coś podobnego, a zawsze obchodzącego całą społeczność, a nie taką nędzną mieścinę jak Warszawa, wymyślono, wykoncypowano i mnie rzucono na stolik — o! wtedy dopiero byłbym jak w raju. Dziś pozbawiony tego, muszę się kwasić, nudzić, ziewać i niecierpliwić... Ale co to? — dopiero w pół do drugiéj? A niechże cię... żyjże tu w tem przebrzydłem Warszawsku. Gdyby choć stara ciotka w trzydziestym stopniu przyszła, toby natrajkotała różnych nowości, i jakoś załatałyby się te dwie blisko godzin czasu. Jak na złość gdy byłaby pożądaną nie przychodzi, gdy kiedyindziéj gada, gada aż do bólu szpiku w kościach.

W tem w przedpokoju ozwał się dzwonek od drzwi wchodowych. Pan Hilary nadsłuchał i obejrzał się szukając najbliższego krzesła. Do każdego wypadało kilka kroków postąpić. Biórkowy fotel był najbliższy, zatyrtolił się więc do niego i tonąc w poduszkach sapnął razy kilka, jak człowiek długą przechadzką zmęczony. Na tem kończy się pierwsza scena, drugą i ostatnią dam Wam w następnym numerze.

PRZEPISY KUCHENNE.

Baby doskonałe.

Cztery kwarty mąki zaparzyć dwoma kwartami mleka wrzącego— rozrobić i przykryć niech postoi, gdy trochę ostygnie, rozcierać rękami żeby grudek nie było. — Roztarłszy wlewać po trochu; cedząc przez sito gęste — cztery kopy żółtek wprzódy należycie ubitych w garnku albo w maślnicy, która się wstawia w letnią wodę; — po wymięszaniu żółtek z ciastem żeby nic grudek nie było, wlać dobrych drożdży filiżanek dwie do letniego ciasta, rozmieszać i postawić w cieple żeby rosło.

Jak podejdzie wsypać mąki tyle, żeby było troche wolniejsze ciasto jak na sucharki, ale nie zbyt rzadkie — zależy to od suchości mąki — po wsypaniu któréj wyrabiać godzinę w ciepłem miejscu, żeby ciasto nie ostygło. Po godzinnem mięszaniu wlać masła sklarowanego dobrze ciepłego filiżanek 6, wyrabiać ciasto pół godziny — wsypać cukru miałko utłuczonego i przesianego filiżanek 9 — migdałów pół funta cienko krajanych, korzeni podług gustu po trochu i wyrabiać, jeszcze pół godziny. Nakładać czwartą część formy i postawić w cieple żeby podrosło. Jak formy będą na dwa cale niepełne, wsadzać w piec dobrze napalony — tak jak na chleb pytlowy, na godzinę.

I. M.

Mazurki drożdżowe, które się pieką po babach.

Garniec mąki, mleka pół kwarty, masła pół kwarty, dwa kubki cukru, 30 żółtek, kwaterkę drożdzy, skórki cytrynowéj, rodzenków podług upodobania wyrobić dobrze, na przygotowane papiery pokłaść ciasta cienko, ubrać migdałami rodzenkami i jak podrosną piec po babach. Jeżeli od razu się nie zmieszczą w piecu, mogą stać nawet parę godzin, a jak znowu piec będzie gotów, wstawić resztę.

W. P.

KORRESPONDENCJA.

Pani B. P. z nad Wilii, starać się będziemy zadosyć uczynić życzeniom pani.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkuszowy z drzeworytami.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek.)



Roland Lara Regent Caprice Parisien

TYGODNIK MÓD

w Warszawie